Rozmaitości

Dnia 21. lipca **Nr 29.** 1838 roku.

WYIMEK

Z IFIGENII W AULIDZIE,

Trajedyi Rasyna: akt III., scena 6ta; przekładu *Wincentego Kopystyńskiego.*

KLITEMNESTRA.

Nim wrócę panie, racz ją mieć w swojéj opiece;
Ja do mojego męża natychmiast polecę,
Nie zniesie on boleści, która mię pożéra,
Niechaj mu Kalchas inną ofiarę wybiéra;
Lub jeźli cię straszliwy ten cios ma nie minąć,
Moje dziécię! ja zdołam piérwéj niż ty zginąć.

Scena 6.

ACHILLES. IFIGENIJA.

ACHILLES.

Pani! milczałem, czucie we mnie otrętwiało.
Znając Achilla, możnaż ufać mu tak mało?
Matka zanosząc do mnie prośby w téj potrzebie,
Aż do nóg mi padając gdy idzie o ciebie,
I krzywdząc mnie, że do tych środków się ucieka,
Posądza, że uczucie moje, jéj łez czeka;
Kogożby tyle co mnie to obchodzić miało?
Tak! bez wątpienia można zaufać mi śmiało.
Ten gwałt jest moją krzywdą, o nic się nie boję,
Ręczę za życie, z którém złączone jest moje,
Lecz z boleści nie zdołam wstrzymać się w zapędzie.
Nie dosyć obronić cię, Achil mścić się będzie
Nad tym, który chytrością tyle się upoił,
Że się mojém imieniem przeciw mnie uzbroił.

IFIGENIJA.

Ach panie! nie chciéj nowych cierpień mu zadawać.

ACHILLES.

Ten barbarzyniec śmiałby ze mnie się najgrawać!
Widzi, że się Heleny mścić lecę z zapałem,
Wié, że kiedy najpiérwszy ja za nim głos dałem:
Wodzem dwudziestu królów obrały go ludy,
A za wszystkie te prace, zabiegi i trudy,
Za odniesione świéżo zwycięztwo niemałe,
Gdzie zemszczony pozyskał i skarby i chwałę,
Pragnąłem tego szczęścia, téj jedynéj chluby,
Ażeby z tobą święte łączyły mię śluby;
Cóż czyni wściekłość jego zdradliwa i krwawa?
Nie dość, że gwałci przyjaźń i natury prawa,
Że mi chce, gdy ofiarę zakończą morderce,
Okazać na ołtarzu drgające twe serce,
Lecz pragnie, aby ślubu pozorem nas zdradził,
Ażebym ja sam ciebie przed ołtarz wprowadził,
I w przesądną dłoń wziąwszy topor, skończył na tém,
Że stałbym się nie mężem twoim, ale katem.
W jakiém niebezpieczeństwie było twoje życie,
Gdybym spoźnił o jeden dzień moje przybycie.
Oto! już ich wściekłości zbliżała się chwila,
Próżnobyś przed ołtarzem szukając Achilla,
Niewinna odebrała z rąk zdrajcy śmierć podłą,
Złorzecząc, że cię moje imię tam przywiodło.
Co ten postrach, ta zdrada, ten podstęp ma znaczyć,
W obliczu wszystkich Greków musi się tłumaczyć.
Pani! ty i honoru mego winnaś bronić,
I w tym razie do mego żądania się skłonić;
Niech wié okrutnik, który ciężko mnie obraża,
Jakiego się imienia nadużyć odważa.

IFIGENIJA.

Ach! zaklinam cię, jeźlim twemu sercu miła,
Jeźli pozwalasz, abym o co cię prosiła,
Niech mam o tém tak łatwe teraz przekonanie,
Bo wreszcie ten, któremu tak zagrażasz panie,
Ten nieprzyjaciel srogi, okrutny, krwié chciwy,
Pomniéj, żeto mój ojciec, ojciec nieszczęśliwy!

ACHILLES.

Twój ojciec! wszak ofiarą jawną w oczach świata
Widocznie się dla ciebie ma zamienić w kata.

IFIGENIJA.

To mój ojciec, mój ojciec! powtarzam ci panie,
Któremu winnam miłość i uszanowanie,
Który dotąd mnie zawsze kochając wzajemnie,
I obraz i pociechę swoję widzi we mnie,
Winna mu cześć z dzieciństwa we mnie się pomnaża,
Mnie boleścią napełnia to, co go obraża,
I nigdy się w uczuciu mojém tak nie zmienię,
Ażebym, potwierdzając twoje uniesienie,
Jeszcze swą skargą mogła jątrzyć jego rany.
Masz dowód, ile jesteś ode mnie kochany,
Gdy, choć boleję, jednak znoszę bez urazy,
Tak obelżywe przeciw niemu twe wyrazy.

I sadzisz, że natury zrzekając się głosu
Nie cierpi nad srogością mego dzisiaj losu?
Czy mógłżeby się ojciec swéj krwić nie użalić?
Ach! czyżby on mnie tracił gdyby mógł ocalić?
Widziałam, jak się łzami zalewał w rozpaczy,
Chcesz go potępiać piérwéj niż się wytłumaczy?
Dosyć już serce jego pod tym ciosem jęczy,
Czy i nienawiść twoja jeszcze go udręczy?

ACHILLES

Ach pani! tak straszliwym zagrożona ciosem
Ty nie swoim, lecz jego zajmujesz się losem.
Okrutny!... i jakże go inaczéj wymienię,
Dziś cię w ręce Kalchasa odda na stracenie,
I gdy mnie do obrony twojéj miłość wzywa,
Ty wtenczas jesteś tylko o niego troskliwa!
Tyś mi zamknęła usta, ty się za nim wstawiasz,
Ty się o niego lękasz, a mnie się obawiasz!
Tenże skutek czułości mojéj i prac tylu!
I tenżeto w jéj duszy twój postęp Achillu!

IFIGENIJA.

Ach! tę miłość, o któréj ty śmiész powątpiewać,
Czy ci aż dziś dopiéro powinnam odkrywać?
Wiész jakiém okiem, z jaką niezgiętą postawą
Dzisiaj o mojéj śmierci przyjęłam wieść krwawą.
Nie zbladłam... ale któryż wyraz ci oznaczy,
Jak byłam pogrążona w najcięższéj rozpaczy,
Gdy mnie z zadaniem sercu największéj boleści,
O twojéj niestałości doszły mylne wieści?
Jak łzy lejąc nie tylko na mój los tak srogi,
Lecz żaliłam się razem na ludzi, na bogi,
I jeszcze ci wyznanie sama muszę składać,
Że wolę zginąć niżli twe serce postradać.
I kto wié, czyli nawet niebo zagniewane
Mogło znieść losu mego tak pomyślną zmianę.
Niestety! ja mniemałam, że z tego zamęźcia
Zostanę nad śmiertelnych wyższą blaskiem szczęścia!

ACHILLES.

Żyj więc pani! ja ciebie od zguby zasłonię.

DÉSZCZ I POGODA.

Z francuzkiego Justina Gensoul.

»Kochany Gustawie!

»Przez całe ośm dni myślę zabawić w dworze, »albo jak się może tobie lepiéj podoba, w zamku »pana Pomereuil. Nasz umówiony interes »idzie najpomyślniéj. Nie dając ostatecznego »zapewnienia, któreby na ciebie jaką powin»ność wkładać mogło, powiedziałem jednak »tyle, iż się oświadczyć zamyślasz. Staranie »się twoje o rękę panny Klary, dobrze przy»jętém będzie; przyjedź więc po mnie jak »najprędzéj. Wprowadzę cię jako mego przy»jaciela, który w sąsiedztwie dobra kupić za»myśla. Od twéj woli zależéć będzie zostać »albo odjechać. Majątkowe stosunki pana Po»mereuil, z którym od lat trzydziestu w ścisłéj »zażyłości zostaję, znam dość dokładnie, i je»stem przekonany, że dla swojéj córki Klary, »która jest jedynaczką, przynajmniéj 25.000 »franków rocznego dochodu przeznaczy, nie »licząc w to po pannie Celestynie zacnéj jego »siostrze, puścizny. W każdym razie otrzyma »ona przynajmniéj 200.000 frank. w posagu. »Co do osoby narzeczonéj, nié mam nic do»dać do jéj portretu, który ci już dokładnie »skreśliłem. Jest bardzo ładną—prawie aż nad»to ładną; nié mam tu potrzeby zwracać jeszcze »twojęę uwagę na jéj przewyborny charakter. »Wiém, że cię zachwyci. Z resztą nie jest ona »tobie zupełnie nieznaną. Powiadała mi, iż cię »widziała w Paryżu u swojego stryja jenerała »na balu. Być może, iż na nią wtedy nie »zważałeś, gdyż była jeszcze bardzo młodą; »ale ci zaręczyć mogę, iż obraz twój tkwi »jeszcze po dziś dzień w jéj pamięci i zdaje się, »iż miłość piérwéj jeszcze związek zawarła, »nim ja swatać zacząłem. Przyszły teść twój, »u którego masz mieszkać, jest zacny czło»wiek, doskonały agronom, przyjemny towa»rzysz stołowy, niezmordowany myśliwy, a co »jest rzeczą najgłówniejszą, zawsze zabawny »i wesoły, wyjąwszy dnie, w których na reu»matyzm cierpi. Jeżeli będziesz chwalił jego »piękne, uprawne pola, jeżeli zasmakujesz »w winie jego własnego zbioru, jeżeli pie»czywu i konfiturom panny Celestyny oddasz »zasłużoną pochwałę, jestem pewien, iż cię na »rękach nosić będą. Nakoniec należy mi obe»znać cię jeszcze i z czwartą osobą, któréj »względy koniecznie zyskać potrzeba, a co »nie jest rzeczą tak bardzo łatwą. Jestto wy»chowaniec i polubieniec dam obiedwu. Strzeż »się, abyś mu w miłosném uniesieniu swojém, »przez nieuwagę na łapkę nie nastąpił. Po»lubieniec ten zowie się — Azor. Odebraw»szy więc tak doskonałą instrukcyję względem »twojego zachowania się, przyjeżdzaj jak »można najprędzéj, aby ci do nowego za»wodu mógł życzyć szczęścia twój dawny »przyjaciel. Gervais.«

P. S. »Przyjedź w karjolce; twój Groom »niech będzie *en grande tenu*. Narzeczony »w swoim własnym ekwipażu najlepiéj się wy»daje. Jeszcze słówko: Masz spółzawodnika;

»jestto sąsiad poblizki, a przytém młody i »majętny. Pomereuil ma w nim upodobanie; »ale nie pochlebiając tobie, ja się go nie obawiam. Tylko nie odwlekaj swego przyjazdu.«

Nazajutrz, po odebraniu tego listu, był już Gustaw w drodze do Lonjumeau. Wytworną karjolkę jego ciągnęły dwa przepyszne kuce, których ogień zaledwo poskromić było można. Dla dostania się do wioski pana Pomereuil potrzebował ujechać sześć mil drogi. Patrząc na poważną i zamyśloną twarz jego, rzekłbyś, iż przemyśla nad ułożeniem jakiego prospektu, którym zapewnia swoim akcyjonaryjuszom sto procentu. Jakoż zamiar porzucenia kawalerskiego stanu, pełnego w wesołość, rozkosze i swobody, przezco wszędzie znajdował łatwe i uprzejme przyjęcie, był dla mężczyzny, mającego lat trzydzieści, istotnie ważną rzeczą! Lecz rozum nakazywał, a Gustaw podobno bardziéj z namowy swojego przyjaciela, niżeli z własnego przekonania, usłuchał tego rozkazu; przyznać bowiem należy, iż on, mimo pozornie stałego charakteru swego, jednakże bardzo łatwo drugim powodować się dawał, przezco nieraz przymuszonym bywał do odmiany zdania swojego. W takim składzie rzeczy z zupełném poświęceniem się szedł pod jarzmo małżeńskie. Z rozkoszą wystawiał sobie powaby swéj narzeczonéj, któréj twarz, jak mu się zdawało, w téj chwili już sobie przypominać zaczynał; przytém i 30 do 40.000 frank. rocznego dochodu, o które miał być pomnożony już sam przez się dosyć znaczny jego majątek, były także dla niego źródłem wyobrażeń przyjemnych. Wsiadłszy do powozu nie miał prawie odwagi; lecz przybywszy do pana Gervais, mieszkającego o dwie mile od Paryża, pierzchnęły wszystkie chmury z jego umysłu.

»Przyjechałeś przecież!« rzekł pan Gervais, który z niecierpliwością wyszedł był na przeciw niemu. »Teraz zjédzmy prędko śniadanie, a potém ruszymy co żywo w drogę. Mamy jeszcze cztéry dobre mile ujechać, a ja obawiam się, aby nas dészcz nie napadł.«

Z pospiechem dano na stół śniadanie, a pan Gervais, który swój głód przez dwie godzin powściągał, wynagrodził sobie rzetelnie czas utracony. Gustaw nic nie jadł, tylko zwykłe swoje śniadanie: kazał sobie dać filiżankę czokolady, a dla lepszego strawienia wychylił szklankę wody. »Tak mało jada tylko zakochany,« rzekł pan Gervais z uśmiéchem. Po weselu przyjdzie i apetyt. Małżeństwo pomaga na strawność.«

Obadwaj przyjaciele wsiedli do karjolki; za nimi Henryk Groom w świecących butach z lakierowanémi sztylpami i w białych, krótkich spodniach. Powaby panny Klary, jéj posag i sześćset morgów pola pana Pomereuil, a nade wszystko sposób przypodobania się wszystkim mieszkańcom zamku, były przedmiotami rozmowy. Poczciwy pan Gervais zachwycony był związkiem, mającym połączyć domy, jego najlepszych dwóch przyjaciół. Gustaw, który z początku przymuszał swoje konie do powolnego kroku, uradowany widokiem szczęścia, które się dla niego tak pięknie otwierało, wolno puścił im wodze.

Tymczasem ściemniło się na niebie; słońce skryło się za grube chmury, puścił się drobny dészczek, a chłodny wiatr zaczął kroplistą wilgocią dojmować z tyłu podróżnym. Działo się to pośrod jesieni. Liście drzew przy gościńcu stojących, kręcąc się w kółko, spadały z szelestem na ziemię, a grzywy koni wzniesione polotem wiatru, świszczały pośród ostrego powietrza. Dopiéro teraz, gdy przezorny Gervais dobrze się płaszczem obwinął, postrzegł Gustaw, że swój w domu zapomniał. Lecz nieszczęście nie było wielkie, bo tą razą sam tylko biédny Groom ciérpiał, gdyż wiatr dął z tyłu. Lecz wkrótce trzeba było z gościńca zjechać i wziąć się na prawo poboczną drogą. Tu dopiéro zaczął dészcz natarczywie zaglądać do karjolki. Gustaw, ciasno i opięto wystrojony, przemókł do nitki, podczas gdy pan Gervais, ile możności swym płaszczem od potopu się ochraniał.

»Co za szkaradna słota!« rzekł Gustaw, starając się wykręcić chustkę, którą sobie nakrył kolana. »Przemokłem cały!«

»Prawda. Piękny twój frak kazimirkowy połyskuje jak płótno woskowane.«

»Dalekoż jeszcze?«

»Dwie milki.«

Gustaw nie odrzekł ani słowa. Rozgniewał się; ale na kogoż miał wywrzéć swoję zemstę? Azali na złe powietrze?... Poznał niedorzeczność swojego gniewu i milczał.

Pomału i z trudnością ciągnęły konie. W krótkim czasie ziemia rozmiękła, a drogi

powodź pozalewała. Jednego razu nawet omal że w wyboju nie zagrzęzła karyjolka. Wtedy Gustaw nie mógł się już powściągnąć, zaczął na głos przeklinać niepogodę, drogę i podróż swoję: nie mógł sobie wystawić, jakim sposobem w tak brzydkiéj okolicy dobra mieć można. Gdyby się był nie wstydził, byłby natychmiast do Paryża powrócił. Gervais nie mówił ani słowa, wysiadł z karjolki, pomagał wybrnąć koniom, podnosił koła; to wsiadał, to wysiadał, aż się nareszcie mury źwierzyńca Pomereuil ukazały.

Podczas téj słotnéj, niegodziwéj jazdy, trzy nieznośnych godzin im upłynęło. Konie były zmęczone i potem oblane, gdy Henryk z za pojazdu skoczył i prawie pływając w butach, z gniewem za sznur u bramy pociągnąwszy, co miał siły zadzwonił. Na ten dźwięk rozległy dał się słyszéć przeraźliwy głos psa domowego.

»Czy to jest owa czwarta osoba,« rzekł Gustaw z przymuszonym uśmiéchem, »któréj względy zjednać sobie potrzeba? Poznaję, iż w saméj rzeczy byłoby niebezpiecznie nastąpić jej na łapkę.«

»Wysiądźmy żywo,« rzekł Gervais; »starajmy się przebrać cokolwiek. Daj mi swój kapelusz, niechaj go naprostuję; popraw tymczasem swój krawat i urządź na czole twe włosy pomiérzwione. Wiadomo ci, iż wszystko od piérwszego wrażenia zależy.«

Służący, który otworzył bramę, zaprowadził obudwóch przyjacioł do zamku. Zbliżając się do salonu, usłyszeli zgiełk pomieszanych głosów, a w chwili, gdy się drzwi otworzyły, przemknęła się z pospiechem jakaś piękna, młoda osoba do przyległego pokoju.

»To ona,« rzekł Gervais z cicha do Gustawa. »Nie spodziewano się nas o takiéj porze, zapewne się przebrać pobiegła.«

Rzeczą było widoczną, iż się tych odwidzin nie spodziéwano bynajmniéj. Pan Pomereuil, któremu z powodu wilgotnego powietrza reumatyzm dojmować zaczął, mając nogi owinięte flanelą, leżał w szlafroku rozciągnięty na kanapie. Starsza jego siostra, panna Celestyna, chuda i wysoka osoba, któréj szpetność okazywała dostatecznie, iż do bezżennego stanu przeznaczona była, siedziała przed gerydonem, na którym stały słoje z konfiturami, i obwijając je w biały papiér, rozmawiała z swym bratem. U nóg jéj, na miękkiéj poduszce, zasypiał spaniale Azor ulubiony, który dla powitania wrzaskliwym głosem nowoprzybyłych, natychmiast się ocknął. Przyjęcie było uprzejme, lecz wymuszone. Nie w porę przybyli goście. Pan Pomereuil był słabym, panna Celestyna na piérwszy rzut oka postrzegła, że zarządzony obiad ani dostatecznym, ani przyzwoitym nie będzie. Widać było na jéj twarzy wyraźne pomieszanie. Przemówiwszy kilka słów grzecznych, prosiła, aby jéj wolno było zająć się domowém gospodarstwem. Podczas gdy Gervais z panem Pomereuil o złém powietrzu i reumatyzmie jego rozmawiał, siedział Gustaw na krześle milczący, przemokły i zasmucony. Zimno i głód dojmowały mu na przemiany. Wszystkie jego myśli utonęły w tych dwóch uczuciach. Jeszcze tylko pocieszał się nadzieją, że wkrótce obiad dadzą, że się ciepłemi potrawami rozegrzeje; lecz dreszcz przeszedł po jego członkach, gdy na dziedzińcu usłyszał wrzaskliwe gdakanie kokoszy, którą dopiéro zarznąć miano i z tego względu ścigano ją po dziedzińcu. W takim razie wypadało czekać jeszcze przynajmniej dwie godzin, zanim obiad nastąpi. Pan Pomereuil, który postrzegł bladość na jego twarzy, zapytał go z udziałem, azali nie jest słabym.

»Mówiąc otwarcie, nie zupełnie zdrów jestem. Ta niegodziwa słota!«

»Do sto piorunów! wierzę wćpanu. Zapewne na wskroś przemokłeś. Kochany panie Gervais, przecież powinieneś był powiedzieć mi o tém zaraz na wstępie.«

»Prawda, zapomniałem,« odrzekł Gervais. »A to dla tego, że nie zmokłem; mnie ochronił mój płaszcz sukienny, grubo podszyty.«

»Proszę wćpana, pójdź osuszyć się bez wszelkiego zachodu.«

Gustaw nie dał sobie dwa razy mówić. Poszedł prosto jak niepyszny do kuchni, gdzie w pośrodku obszérnego i starodawnego komina na szérokim tronie, jasnym płomieniem ogień buchał. Już tam jego Groom piérwéj zajął miejsce. Stał sobie w kącie przy ognisku, i wystawiając wszystkie boki swoje na dobroczynny wpływ płomieni, obracał się jak pieczeń na rożnie. Gustaw, stanąwszy w drugim końcu, obracał się podobnież. Nie minęło pięć minut, a już obu okryła gęsta

para z przymokłych sukni wychodząca, podczas gdy między nimi obracano na rożnie tłustą i młodą pulardę.

»Mój Boże! cóżto jest?« rzekła panna Celestyna, wszedłszy do kuchni, »to się nie godzi, abyś wćpan w tych sukniach został, mógłbyś zachorować. Należy je odmienić.«

»Jużbym to był dawno uczynił,« odrzekł Gustaw, »ale przez pospiech nie wziąłem nic ze sobą.«

»Ja także nic nie wziąłem,« dodał Henryk, »patrz pani, jakem wody pełen, i już kipieć zaczynam.«

»Odejźże ztąd; nasz Piotr da ci swoje świąteczne suknie. A wćpan, chciéj pójść ze mną. W garderobie mego brata znajdziemy przecież jakieś ubranie.«

Gustaw jeszcze zawsze okryty wyziewem pary, poszedłszy za starą panną do odległego pokoju, ujrzał wkrótce szafę, napełnioną wszelkiego gatunku bielizną i sukniami; lecz chociaż wszystko było w najlepszym stanie i w dobrém poszanowaniu, wszelako krój okazywał, iż od lat pięćdziesięciu nie było żadnej nowéj rzeczy w tym zbiorze. Panna Celestyna, która przez samę przyzwoitość przy zdziwionym Gustawie służby szatnego pełnić nie mogła, oddaliła się, i przysłała pana Gervais do niego.

Wystawmy sobie młodego, zalotnego, do najwyborniejszych strojów piérwszéj mody i do zbytku przyzwyczajonego mężczyznę, który w stanowczéj chwili, gdy ma stanąć przed swoją narzeczoną, staroświecki ubior ziemianina wdziéwać jest przymuszony. Zaiste, w położeniu tak nadzwyczajném jest prawie niepodobieństwem, aby człowiek nie śmiał się sam z siebie, jakoż Gustaw byłby się śmiał niezawodnie, gdyby w innym był przyjechał humorze; atoli trud i niewygody, które go w drodze spotkały, wywarły także swój wpływ na usposobienie jego umysłu. Widział on wprawdzie śmiészną stronę swojéj przygody, ale wcale z innego stanowiska. Gniewała go nawet pana Gervais wesołość. Gustaw jakkolwiek dobrze zbudowany, na domiar swego nieszczęścia był jednak małego wzrostu, gdy przeciwnie pan Pomereuil był wysoki, mocny i dobréj tuszy. Nadaremnie w całéj garderobie szukał jakowéj sukni, któraby dla niego nazbyt wielką nie była. U każdéj kołniérz wystawał mu aż po wyżéj głowy, a rękawy sięgały aż do końca palców. O wcięciu i kibitności ani było myślić można. Każdą suknią mógł się jakby płaszczem odziać. Ze złości nie mówił ani słowa, podobnie jak wprzódy podczas burzy; Gervais nie śmiał już okazywać swéj wesołości. A jednak wybór uczynić wypadało. Nie było czasu do namyślania się, Gustaw był przymuszonym ubrać się w staroświeczczyznę i zejść na dół.

»Zaiste,« rzekł Gervais, udając jak najrzetelniejszą szczérość myśli; »nie źle wyglądasz. Sporność téj staroświeckiéj sukni z twoją świéżą, młodzieńczą twarzą, nadaje ci osobliwszego wdzięku. Jestem pewien, że się pannie Klarze mocno podobasz, a z resztą, cóż ci to szkodzi, jeżeli ją trochę rozśmieszysz? Rozmaite są sposoby ujęcia sobie dziewczyny, ja sam, jak mnie widzisz, mogę ci bez pochlébstwa powiedzieć prawdę, iż w moim czasie —«

»W twoim czasie« przerwał Gustaw, »byłbyś się także uraził, gdyby cię kto był w koczkodana przestroił. Co mnie właśnie dzisiaj spotyka. Lecz dajmy temu pokój. Przybyłem tu, więc wypada, abym moję rolę odegrał aż do końca. Wszak jeden wieczór nie jest wiecznością.«

Właśnie chciałem to samo powiedzieć. Pójdźmyż, bo już na nas czekają.«

»Ha idźmy,« rzekł Gustaw, jak on człowiek, który sam sobie odwagi dodaje.

»Idźmy!« powtórzył Gervais. Za chwilę przybyli do salonu.

Klara siedziała przy kanapie swojego ojca i trzymając tamborek w ręku, zdawała się na nim tkać wzorek; lecz była niespokojna i z coraz większém pomieszaniem oczekiwała przyjścia Gustawa, którego obraz, jakkolwiek już w jéj pamięci był zatarty, jednakże od czasu napomknionego przez pana Gervais oświadczenia, nie przestawał zajmować jéj ciekawości. Ze wszystkich tancerzy, których widziała na balu u swego stryja, sposób zachowania się i postać jego podobały się jéj najbardziéj. Mocno zatém biło w niéj serce, gdy usłyszała drzwi otwiérające się. Tak dalece była w przypomnieniu zatopiona, iż jeszcze teraz z spuszczonémi w dół oczyma, jak przykuta na krzesełku siedziała, kiedy już pan Gervais, trzymając Gustawa za rękę, do niéj

się zbliżył i nie zważając bynajmniéj na zdziwienie, które pan Pomereuil przy ich wnijściu na głos okazał, do niéj rzekł w te słowa: »Pani, mam zaszczyt przedstawić jéj mego młodego przyjaciela, Gustawa Grandville.«

Na tę odezwę panna Klara podniosła oczy, ale — jakież było jéj zadziwienie, gdy ujrzała przed sobą postać, w któréj się jéj marzony Gustaw przedstawiłl Pojrzała najprzód na niego, potém na pana Gervais, a nareszcie na swego ojca; aż oto nagle, niespodziany aktor przerwał tę scenę.

Azor, ujrzawszy tak nadzwyczajną postać, na któréj poznał suknie swego pana, a która jednak nim nie była; zaciekły gniewem i przestrachem, wyskoczył z pod kanapy i z przeraźliwym wrzaskiem rzucił się na Gustawa. Nadaremnie pan Pomereuil, obruszony tym hałasem, starał się psa uspokoić; on z najeżonem włosem krążył nieustannie w koło Gustawa, ścigał go za każdém poruszeniem, z przodu i z tyłu zaskakiwał mu drogę, a nareszcie upatrzywszy pomyślną chwilę, zahaczył go ostremi zębami w łytkę. Gustaw skrzyknął z boleści. Pan Pomereuil zerwał się z kanapy i rozgniewany, nie zważając na swój reumatyzm, pobiegł za psem, zchwycił i kopnął go nogą aż o ścianę salonu.

»Wypędzić mi precz tego psiska!« zawołał głośno. »Do sto piorunów! takiežto pies wychowanie mieć powinien? Już dawno przysiągłem sobie, że tę bestyję do stawu wrzucić każę, i za prawdę, że to uczynię; a nadal starać się będę, by więcéj żaden Azor w moim domu nie postał.« To rzekłszy, rzucił się znowu na kanapę, ale tém oburzeniem osłabiony, zaczął uczuwać tém większe reumatyzmu skutki.

Klara drżała jak listek na drzewie. Litośnym wzrokiem pojrzała na psa, którego z bojaźni, by nie rozjątrzyć ojca, żałować nie śmiała. Panna Celestyna, usłyszawszy krzyk, wbiegła przestraszona do salonu i wyniosła skrzywdzonego Azora na swoim ręku, starając się go pieszczotniém przymileniem uspokoić. Wszelako nie zaniedbała spojrzeniem okazać gniewu swego równie na brata, jak i na sprawcę tego nieszczęsnego przypadku. Gervais był pomieszany i stracił głowę zupełnie. Obawiał się, aby w obecności Gustawa nie wybuchła burza domowa; Gustaw myślał sobie: jestem tu tak potrzebny, jak Piłat w *credo*. Nie śmiał się żalić, tém bardziéj, iż widział, że o niego nikt się nie troszczy; pan Pomereuil zajęty był swym reumatyzmem, a panna Klara na chwilę po swojéj ciotce, wyszła była także z pokoju. Nieutulony Azor zawsze jeszcze nie dał się uspokoić i skomlił żałośnie.

W tym sposobie odbyło się piérwsze poznanie obojga młodych ludzi. (Dokoń. nastąpi.)

AKTORKA DESGARCINS.

Między aktorkami, które za czasów rzeczypospolitéj francuzkiéj w tragicznym zawodzie najszczególniéj zdobiły scenę narodową, pani Desgarcins zajmowała najpiérwsze miejsce, a okropny jéj zgon może najlepszym być dowodem, do jakiego stopnia przejmowała się duchem ról, które przedstawiać miała. Ponieważ nadwątlone zdrowie dwuletniéj jéj córki wymagało świéżego wiejskiego powietrza, by ją więc lepiéj pielęgnować mogła, udała się z nią do Cliguancourt pod Paryżem. Jednéj nocy, gdy snem ujęta była i nikt już z domowników nie czuwał, banda rabusiów, włamawszy się w jéj pomieszkanie, skrępowała nieszczęśliwą aktorkę i ogołociła ją po największéj części z majątku. Jeden ze złoczyńców niezadowolony tém łupieztwem, wrócił do jej sypialni, i wymierzywszy sztyletem do jéj piersi, groził, że ją zabije, jeżeli jeszcze ukrytych klejnotów mu nie wyda. Drżącą ręką podała mu Desgarcins kosztowny dyjadem, który się w nocnym stoliku jéj znajdował, zaklinając przytém wyrazem najokropniejszéj rozpaczy dziko wyglądającego łotra, by jéj wiszący na jéj szyi portret córki zostawił. Rabuś zmiękczony żałośnym głosem matki, skłonił się do jéj prośby, i zabrawszy resztę zdobyczy umknął z pokoju. Wzruszenie, jakiego przy tym wypadku doznał umysł téj aktorki, było nadzwyczajne, równie dręczące wspomnienie o nim tkwiło nieustannie odtąd w jéj sercu. Po niejakiéj przerwie wystąpiła nareszcie znowu obok Talmy w nowo przez p. Ducis przerobionym *Otellu* Szekspira. Sztuka się rozpoczęła; teatr był zapełniony widzami, a publiczność najhuczniejszym oklaskiem powitała aktorkę, któréj tak długo była pozbawioną. Pani Desgarcins przedstawiała Desdemonę z zwykłą przewagą swego talentu, a Talma, który dla ochrony jeszcze wątłego zdrowia artystki przedsięwziął był w swojéj grze być umiarkowanym, Talma, który obeznany z literaturą angielską, w przekładzie Ducisa umiał upatrzyć ducha Szekspira, nie mógł opanować swego zapału, dał się unieść owym ognistym wzruszeniom, owym wybuchom srogiego gniewu, które później postrzegano tylko w Keanie i Macreadym, gdy przedstawiali toż samo dzieło angielskiego poety. W piątym akcie przestrach pani Desgarcins był istotnym. Drżącym i częstokroć przerywanym głosem śpiewała ona znaną piosnkę o wierzbie i jéj cieniu. Lękała się Otella i jego sztyletu. Przez osobliwsze pomieszanie przestraszonego jéj umysłu znalazła w téj chwili jakieś podobieństwo między Talmą, a owym rabusiem, pod którego sztyletem w Clingnancourt omal że trupem nie padła. Gdy więc aktor przybliżył się do łóżka, na którém podczas przedstawienia sztuki leżała, wydała krzyk przeraźliwy;

a ponieważ pamięć jéj uobecniała jéj tę chwilę, w któréj rabusia zaklinała: »Przez miłość Boską! nie bądź tak srogim i pozostaw mi ten portret;« toż samo murzynowi powtarzając, pomieszania zmysłów dostała?.. Śród powszechnego przestrachu spadła zasłona. Płeć piękna była blizka omdlenia; po całym teatrze słychać było głos powszechny: »Zabił ją! zabił ją! Obywatelka Desgarcins, obywatelka Desgarcins niech wystąpi! prosimy!« — Podniosła się zasłona, a pani Desgarcins blada i z osłupiałym wzrokiem, szukając ciągle pomiędzy otaczającemi ją osobami portretu swojéj córki, skłoniła się po raz ostatni publiczności, któréj już nie rozumiała oklasków. Od téj chwili postradała przytomność umysłu na zawsze. W kilka miesięcy poźniéj umarła w dwudziestym siódmym roku życia swego.

— Ze Lwowa. —

Wyimek z listu z Paryża. »Szkoła robienia cukru z buraków w Fouilleuse, nie dalcko Paryża, o któréj otwarciu miałem przyjemność donieść w roku zeszłym (ob: Nr. 47. Rozmaitości), przystąpiła d. 8. kwietnia r. b., po sześciomiesięcznym biegu nauk teorycznych i praktycznych, do rozdawania dyplomów i świadectw zdolności. Uczęszczało do niej 52 uczniów, to jest: 20 Francuzów i 32 cudzoziemców, pomiędzy którymi było 16 Polaków. Pan Dupuis wspomniał o tych ostatnich w mowie, która posiedzenie uroczyste zagaił. Powiada, że może jawnie ogłosić, iż się odznaczyli zamiłowaniem pracy i porządku. Pochwała ta nie była samą grzecznością, bo z 52 uczniów otrzymali dyplom: jeden Francuz, jeden Szwajcar, jeden Grek, a ośmiu Polaków. Druga tychże połowa otrzymała tylko świadectwa, ale nie wątpliwie dla tego jedynie, że musieli walczyć z trudnościami obcego języka, w którym chemija, fizyka i mechanika zastosowane, wykładane były. — W instytucie rolniczym, w Grignon, o cztery mile od Paryża, uczy się nauk gospodarskich tego roku dziesięciu Polaków; nauki w téj szkole rozdzielone są na dwa lata i uczniowie obowiązani są pilnować ich bez żadnéj przerwy, bez żadnych świąt i wakacyj, co ztąd pochodzi, że się oddają nie tylko teoryi, ale także praktyce, tak, iż prawie wszystkie szczegóły i posługi gospodarstwa odbywane są przez samych uczniów. Pomiędzy uczniami Polakami znajduje się jeden wysłany kosztem banku Królestwa Polskiego. Obszérna majętność, oddana przez rząd prywatnemu przedsiębierstwu, posiada wszystkie warunki podobnego wzorowego zakładu: rozmaitość gruntu, łąki naturalne i sztuczne, las i staw. Rozmaite gatunki bydła, owiec i trzody nastręczają uczniom znajomości porównawczych. Do zakładu tego należy fabryka narzędzi rolniczych i mąki kartoflanéj. — Na tegoroczuéj wystawie sztuk pięknych w Luwrze, znajdowały się tylko dwa dzieła oryginalne Polaków; pierwsze P. Ferdynanda Chotomskiego, wyobraża: *Sąd kani przez orła;* myśl tego obrazu powziął autor z bajki Niemcewicza, gdzie kania obwiniona o zabicie gołębia, i gdzie kos i sroka bronią jéj sprawy. *Journal des Artistes* wspomina pochwalnie o tém dziele. Drugie dzieło oryginalne pa. Gustawa Łosińskiego, z Dusseldorfu, wyobraża dawny zamek w górach Eifel. Nie wiadomo mi, czy ten sam artysta, czy inny podobnego nazwiska, rysował kilka wizerunków do zbioru malowniczego *Musée des familles;* pod rysunkami temi podpisany jest może przez omyłkę *Lowsinski.* Spominając o tym zbiorze malowniczym, przychodzi mi na pamięć umieszczony w nim artykuł, opisujacy *Bicêtre,* szpital pod Paryżem, szczególniéj dla ludzi, mających pomieszany rozum. Nieszczęściu temu, jak wielu innych, uległ pewien młody człowiek, którego widok takie sprawił wrażenie na zwidzającym ów szpital autorze, że obok opisu zakładu umieścił w *Musée de familles* wizerunek tego nieszczęśliwego. Wyjmuję z artykułu Francuza kilka o tém szczegółów: »Pamiętają wszyscy młodego cudzoziemca, który raz jednego chciał paść na kolana przed jedną z córek królewskich i wyznać jéj miłość, którą go natchnęła. Dzienniki powtarzając ten wypadek, dodały, że młodzian ten rodem Grek, umieszczony został w szpitalu. Od tego czasu nie spominano więcéj o tym dziwacznym postępku, który pośród zdarzeń, co po sobie następują, krzyżują się i jedne drogie wypiéraja, poszedł w zapomnienie. Bohatér tego szczególnego wypadku nie jest Grekiem, urodził się w Polszcze. Nazywa się Papr......, ma lat 27 i był podporucznikiem. Przechadza się nieustannie w ogromnym kapeluszu słomianym po dziedzińcu nie mogących być wyléczonymi, gdzie go zamknięto. Rysy jego twarzy wyrażają głęboką melancholiję i pomimo łachmanów, które go okrywają, nie są bez godności i wdzięku. Trzewiki podziurawione, nie mające nawet kształtu obuwia, surdut niegdyś granatowy i poszarpany, resztki pantalonów i szpitalna koszula, składają jego ubior. W ogólności unika on ciekawych, ale kiedy kto do niego przemówi, odpowiada po francuzko dosyć poprawnie z grzecznością i jako człowiek, który żył w świecie. Gdy mu kto zadaje pytania, ściągające się do jego umieszczenia i chce się dowiedzieć, dla czego go tu zamknięto, odpowiada zręcznie co innego i nie wychodząc z granic najściśléjszéj przyzwoitości, przenosi rozmowę dowcipnie do innego przedmiotu. W rozmowie jego jest ciąg, loika, jasność; umysł jego nie rzuca się raptownie z jednéj myśli w drugą, co właśnie znamionuje osoby, mające pomieszanie zmysłów, ale prawie zawsze narzéka na rozkaz, który go więzi w tym smutnym szaleństwa przybytku. Mówią, że Papr...... łączył z miłością swoją do jednéj z córek królewskich, marzenia polityczne, że się mienił być wybranym od Boga do odrodzenia ludzkiéj społeczności. W epoce naszéj rozprzężenia, gdzie każdy marzy o odbudowaniu szczęścia ludzkiego, gdzie lada uczeń wmawia w siebie jeniusz, przeznaczony do wzniesienia budowy towarzyskiéj, zamienionéj w rozwaliny, gdzie najdziwaczniejsze systemata licznych mają zwolenników, postępek Papr.......go może (we Francyi) nie wydaje się tak szalonym, jak nim jest w istocie i t. d. — Hrabia Jelski założył znowu w Paryżu dom bankowy pod firmą *Jelski et Dussard;* kilka spekulacyj szczęśliwych pozwoliło mu nie tylko rozszerzyć swoje działania, ale nawet spłacić długi, które pozostały po upadku dawnego jego domu, a do których spłacenia nie był prawnie zobowiązany. Jedną z takich spekulacyj było kupienie wynalazku galwanizacyi żelaza, ochraniającéj je od rdzy. Akcyje tysiąc-frankowe, w tym interesie puszczone w obieg, trafiły właśnie na chwilę, w któréj pewny szał rzucania się w spekulacyje na nowe wynalazki, opanował był kapitalistów; akcyje galwanizacyi żelaza poszły były wtenczas na giełdzie z 1000 do 3000 fr. Galwanizacyja, zachowując żelazo od rdzy, jest wynalazkiem bardzo użytecznym, a sposób galwanizowania bardzo prostym i niekosztownym. Żelazo, oczyszczone ze rdzy, zanurza się w roztopioną w tyglu glinianym massę cynku, wydobyte zanurza się w wodę i gładzi się trocinami. Takie przynajmniéj postępowanie widziałem w założonéj w tym celu fabryce w Paryżu. Jestto proste pobielanie żelaza, ale mniéj kosztowne od powłoki, jaką dają na miedzi. Dom hr. Jelskiego założył teraz w okolicy Paryża,

przy spadku kanału St. Maur, wielki młyn do mlenia zboża, o 30 kamieniach. — Zeszła nie dawno z tego świata księżna d'Abrantes, zostawiła w rękopismach swoich romans, którego osnowa wyjęta jest z dziejów polskich, z czasów królowéj Jadwigi. Romans ten wyszedł z druku w Paryżu, pod tytułem: *Hedvigue.* X. B.

Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska przełożone zostały na język niemiecki, i jak *Magasin für die Literatur des Auslandes* donosi, wyszedł ten przekład we Wrocławiu, przejrzany i powiększony uwagami, przez profesora Steuzel.

Jeszcze r. 1836 wydał w Gradcu p. Filip Jakób Rechfeld, profesor c. k. akad. gimnazyjum i c. k. bibliotekarz w Gorycyi, w przekładzie niemieckim: *Wybór Od Macieja Kazimierza Sarbiewskiego*, tomów dwa, zawierających ody 3ciéj i 4téj księgi. Uczony tłumacz powiada o Sarbiewskim: »że jest autorem, który nowszym pomysłom umiał zręcznie nadać osłonę starożytności, i w którego utworach poezyjnych duch Szyllera w ciele Horacego się pojawia.« S. J.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego wyszedł N. 36. i obejmuje przedmioty następujace: 1) O nowym płngo do wykopywania kartofli. 2) O pługu bez przewodnika. 3) Niektóre doświadczenia w hodowaniu lnu. 4) O koniach arabskich. 5) Młynek do mielenia kości. 6) Wiadomości czasowe.

Z Krakowa. (Wyimek z listu.) Wydrukowano właśnie drugie wydanie: *Rysu literatury polskiéj Łukaszewicza*, a pan Olszewski wydał osobno swój znany z »Pamiętnika naukowego« artykuł: *Oświata u Sławian.* — Na parnasie polskim zjawia się nowy poeta J. Dworzecki.

* * *

Karol Lipiński w Wilnie. Wszędzie pożądany, po całej Europie sławiony, zstąpił i do nas Lipiński, pierwszy skrzypek Najj. Cesarza Wszech Rossyj, przy dworze Królewsko-Polskim. Już to drugi raz Wilno szczyci się chlubą odwidzin jego. Sala ratuszowa, największa jaką tu mamy, dnia 29. kwietnia nie mogła pomieścić w sobie gromadzących się słuchaczów; wielu też do domów wróciło ode drzwi. Prośby nasze skłoniły Lipińskiego, iż dnia 5. maja dał się nam słyszeć powtornie.—Słuchać grania Lipińskiego i zostawać pod wpływem niepojętej władzy; dać zdanie o jego talencie, lub to, co jest niepojęte, chcieć wytłumaczyć, są rzeczy jedno i toż samo znaczące. Aby opisać wrażenie, jakiemuśmy ulegli, trzebaby wznieść się do téj szczytnej wysokości, z któréj on harmoniją i melodyją na dusze nasze rozlewał; trzebaby czucie tak mieć wypolerowane, aby promienie jeniuszu jego w ognisku naszém przez odbicie zajaśniały. Ażeby drugim dać wyobrażenie tego, cośmy słyszeli, trzebaby sztukę tak czuć, tak pojmować i wykonywać, jak ją czuje, pojmuje i wykonywa Lipiński! Dalecy od tego, nieśmy hołd czci i uwielbienia za te drogie chwile, jakiemi nas darzył, objąwszy stér nad uczuciami naszemi. Ile skrzypce mają w sobie mocy i świetności, ile słodyczy i czułości, jak są namiętne w wydaniu tonów rozlicznych, jak podatne i zręczne w użyciu rozdrobnionej harmonii, ilu głosami władać mogą, dał nam to poznać Lipiński, przechodząc z łatwością ustalone prawie granice naszych wyobrażeń o tym instrumencie. Jego męzka siła, władnąca wszystkiemi sposoby, to ma sobie właściwego, iż w kilka godzin zaledwo rozważyć możesz trudności, jakie przechodził; w ciągu grania nie znasz ich, bo one mu się nie stawią do pokonania, lecz ulegają pod władzą i panowaniem jego. Słuchając jego zdziwisz się nie nad nim, ale nad sobą samym, boś się w podobnym stanie przedtém nie znajdował. — Ziomku Artysto! chlubo krainy, w któréjś się urodził! Cześć tobie niosę, na jaką mię stało: kwiatek pamięci, do wieńca zdobiącego twe skronie, nie dla twojéj, lecz dla naszéj sławy; jeżelić będzie miły i chętnie przez ciebie przyjęty, stanie się dla ofiarnjącego rzetelną chlubą! *(Wizer. i roztrząs. nauk.)*

List Szyllera. Z powodu przedstawienia dzieła dramatycznego: *Intryga i miłość*, w Manheimie d. 28go stycznia 1785 r. napisał Szyller nazajutrz do pana Dalberg, dyrektora teatru, list następujący: »Nié wiém, jaką szczytność nasi panowie aktorowie — lubo nie wszyscy — w tém upatrzyli, że to już za przyzwoitość sobie poczytują, lichy dyjalog przez dobrą grę podnosić, a przeciwnie zaś dobry przez niedorzeczną zniweczać. Jestto bardzo mały dowód poważania jaki aktor autorowi okazuje, jeżeli dzieła jego co do słowa na pamięć się nauczy. Atoli nawet téj najmniejszéj względem mnie nie wypełniono powinności. Ileżto ja godzin nie tracę za nim jednemu okresowi najwłaściwsze zdołam nadać zaokrąglenie; a dokazawszy tego, jeszcze obawiam się i martwię, aby aktor, téj mojéj mozolnéj pracy, oddając ją swojemi słowy, w niwecz nie obrócił. Od kiedyżto jest zwyczajem, aby aktorowie przewodzili poecie? — Wczoraj doznałem tego bardziéj niż kiedykolwiek. Sztukę moję: *Intryga i miłość*, większa część aktorów przez niedbałość nauczenia się ról na pamięć, prawie w kawałki rozszarpała. Zamiast moich myśli nie raz niedorzeczność słyszeć musiałem. Mnie samemu mało wprawdzie na tém zależy; albowiem śmiało twierdzić mogę, iż dotychczas teatr większéj przez moje sztuki nabył sławy, niż moje sztuki przez teatr. Dla tego nigdy nie dozwolę, aby od niego zaciężała wartość méj pracy. Lecz ponieważ wydarzyła się mi pora mówienia o tutejszym teatrze, dla tego nie mógłem téj rzeczy pominąć obojętnie. Sądzę i spodziewam się, iż poeta, który dla teatru wypracował trzy sztuki, między któremi są *Zbójcy*, ma niejakie prawo do skarcenia tego uchybionego względu. *F. Schiller.«*

Papiér z drzewa. Jedno z najciekawszych odkryć, dotyczących się wyrobów rękodzielnianych, zrobił nie dawno pan Montgolfier, który przy fabrykacyi papiéru wynalazł sposób używania drzewa zamiast gałganów, okazawszy, iż materyjał ten do wyrabiania z niego papieru doskonale przydać się może.

Rzadki przypadek prawny. Sądowi paryzkiemu przedłożono obecnie następujący osobliwszy przypadek prawny: Były liwerant armii posiadał rentę krajową w kwocie 15.000 franków. Małżonka jego w czasie ostatniéj jego choroby zbliżała się do połogu. Liwerant umarł. Testamentem, napisanym na dni kilka przed swoją śmiercią, rozporządził swoim majątkiem w sposób następujący: »Cały mój majątek podzielam na trzy równe części. W przypadku gdy małżonka moja powije syna, spadną na tegoż dwie trzecie części mego majątku, a na matkę pozostała część trzecia; jeżeli zaś wyda na świat córkę, natenczas córka jednę, a matka dwie trzecie części otrzyma.« Ale przypadek zrządził, że żona porodziła bliźnięta, a mianowicie chłopca i dziewczynę. Rzecznik pupilów utrzymuje, że stosownie do ostatniéj woli ojca, który przeznaczył dwie trzecie części dla syna, a jednę trzecią część dla córki, matce nie należy się jak tylko dożywotne używanie dochodów. Z drugiéj strony zaś adwokat matki twierdzi, iż ojciec swoją ostatnią wolą zmierzał do zabezpieczenia matce na wszelki przypadek trzeciéj części, a zatém podług woli zmarłego należy, aby ta trzecia część matce, a drugie dwie trzecie części dzieciom były oddane, to znaczy, aby cała ta puścizna na trzy równe części podzieloną została. W swoim czasie doniesiemy czytelnikom o sądowém roztrzygnieniu tego procesu.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*